

Karol Samsel: „Alchemia słowa”. Studium wielkości tekstu

Dla pełnego zrozumienia „Alchemii słowa” trzeba niewinności samouka, to niejako – pewien złoty punkt polskiej literatury, gdzie „szybująca erudycja” łączy się z „górującą” niewinnością wysłowienia – pisze Karol Samsel w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Parandowski. Pan od Hellady”.

Mam do Jana Parandowskiego stosunek głęboko osobisty. Jego *Alchemia słowa* pozostaje dla mnie wzorem autotematycznej bezpośredniości, pamiętam o niej właściwie za każdym razem, kiedy piszę sam – w podobnie autotematycznym duchu, czy jest to poemat *Autodafe*, fikcja w rodzaju powieści *Prima* czy właśnie powstający dziennik, pt. *Praktyki...* Właściwie, wcale nie jest łatwo przekonać zwykłego czytelnika do niesamowitości rzeczy rozgrywających się na kartach *Alchemii*, bowiem – być może – powie krótko, ucinając: bezpośredniość? Ależ mam ją u Konwickiego: w *Kalendarzu i klepsydrze* albo we *Wschodach i zachodach księżycy*, mam ją w *Robakach* Nowakowskiego. Tam, gdzie Konwicki oraz Nowakowski uprawiają swoją zniewalającą korsarkę – bo ich eksperyment jest korsarką – Parandowski przetacza się z godnością i po conradowsku po otwartych wodach tematu i jest to prawdziwa liturgia niespieszności – erudycyjny autotematyzm i cały majestat związanej z tym autotematyzmem hermetycznej subtelności. Jest to hermetyzm, ale czytany najlżej, jak tylko można sobie wyobrazić – jakby spryskać ludzką myśl i intelekt mgiełką treści i zostawić samo najlżejsze sedno –

nic poza wyciszonym *onus probandi*. Niesamowite piarstwo. Wzorzec lekkości, ale i autentyczności i bezpośredniości polskiego stylu autotematycznego... Dla mnie on zaczyna się dopiero od *Alchemii słowa*.

Jako wzorzec prostoty stylistycznej (bo Parandowski jest w swojej formalności po prostu wiarygodny, uczciwy, nieretoryczny oraz nierezonerski) *Alchemia słowa* jest idealną pozycją na warsztaty literackie, co miałem okazję weryfikować wielokrotnie – w różnych okolicznościach i przed odmiennym audytorium. Dla mnie to przykład nieśmiertelnika, zakurzonego tekstu od dawna będącego pod strzechami, takiego może, o którym tak zwane strzechy zapomniały już nieco, niemniej jednak nieśmiertelnika, bo w ogóle niepoddanego upływowi czasu, niestarzejącego się. Parandowski, innymi słowy, stworzył mój wzorzec narracji uniwersalnej i mówiąc już po linii moich najskrytszych pragnień – chciałbym takiej właśnie Księgi, to znaczy takich najważniejszych poznawczych doświadczeń, jakich może dostarczyć mi tekst. Potrzeba zgrabnego bon motu? Ależ proszę bardzo, przy Parandowskim zawsze – chciałbym Biblii napisanej przez Parandowskiego i chciałbym wielkiej powieści postmodernistycznej (zawsze żyłem nadzieją na tę formę) napisanej przez Parandowskiego. Ściślej, chodzi mi o *Alchemię słowa*, ten tekst jest dla mnie tym, czym nie stała się z racji czasowych i intelektualnych dystansów – *Rzecz o wolności słowa* Norwida. To zresztą jest pasjonujący temat: Parandowski – Norwid. Wymagałby ogromnej ostrożności (czy może – pietyzmu) w opracowaniu. Czasy, w których wyobrazenie sobie na półkach księgarskich z całkowitą swobodą książki takiej, jak „Parandowski – Norwid”, z pewnością należałyby do jednych z najlepszych czasów do ewentualnego przebycia na tej niezbyt literackiej planecie (mam ochotę zakrzyknąć przy pomocy hiperperyfrazy: „Jan Parandowski, ludzka możliwość literatury

polskiej", bo tym mi się właśnie zdaje autor *Nieba w płomieniach*, ludzką uliczką, nieoczekiwanie odchodzącą z mitologicznego labiryntu historii... przerwą w strukturze do wypełnienia na cud).

„Vade-mecum bibliofilów”, jak głosi najnowsze, kontrowersyjne dla mnie, wydanie *Alchemii słowa* z 2020 roku? Raczej – arcydzieło bibliofilii. Na to chętnie bym przystał, dodając może jeszcze do tego: książek bibliofili nie powinni czytać bibliofobi, tych dwóch bibliotek – bibliofilskiej i bibliofobicznej – nie da się ze sobą uzgodnić, poza tym życzę bibliofobom podobnego arcydzieła bibliofobii, co to nasze. Zresztą, arcydzieła bibliofobii nigdy nie będą książkami, na których poznamy się my, bibliofile – i raczej nieuchronne jest nasze traktowanie ich, być może, niesprawiedliwie, za to bardzo od siebie: jako mamidła i monidła – nic więcej... „Bite dziesięć dni torturowania się piłą”, narzeka Jacek Dehnel w swoim tekście *Przeciw Parandowskiemu* w wydaniu z 2020 roku[1]... Trochę szkoda tej afektacyjnej energii: dla mnie, dla przykładu, liczy się tylko literatura, która stawia mi opór (byłbym więc zachwycony takim oporem udzielonym mi przez samego mistrza Jana – Parandowskiego – i raz jeszcze powtórzę, ktoś, kto kiedyś napisze wielką postpowieść w inspiracji lekkością autotematycznych esejów Parandowskiego, wygra sprawę o Polskę – przynajmniej tę literacką).

By nieco Dehnela uświadomić (ale nie ukrywam tu *Schadenfreude*, również nieco przestraszyć, „przestraszyć” jego próżność, jeżeli można tak powiedzieć), weźmy proszę do ręki książkę Jakuba Zdzisława Lichańskiego z 1986 roku, *Wtajemniczenia i refleksje*. Szkic monograficzny o Janie Parandowskim. *Alchemii słowa* poświęcone zostało w tomie jakieś piętnaście stron, zaś pierwszą z rzeczy, do których przystępuje w swoim studium Jakub Lichański, jest rozwianie

(ewentualnych) wątpliwości co do legitymacji rozważań, których artykulację, ale modernizację zaprezentował autor *Nieba w płomieniach*. Kim jest pisarz, zapytać należałoby, zdaniem Lichańskiego? Praktykiem, to znaczy – retorem, nawet jeżeli pozostaje tylko „retorem wewnętrznym”, „retorem samego siebie”... Retoryka to mądrość praktyczna, w odróżnieniu od poetyki – sztuka wytwarzania więc nie utworów, lecz – jak mądrze to ujmuje Lichański, mądrze, bo hermeneutycznie – „językowych dzieł sztuki”. Użyłem określenia „hermeneutycznie” nie przypadkiem, bo Lichański rozdział poświęcony *Alchemii słowa* otwiera właśnie cytatem z *Hermeneutyki* Gadamera. Co to nam mówi? Że usiłował czytać Parandowskiego hermeneutycznie, mało tego jeszcze – że usiłował ustalić hermeneutyczną szkołę czytania *Alchemii słowa*. I na koniec najważniejsze: że prymitywny atak Dehnela na *Alchemię słowa* (naprawdę, czy aż do tego stopnia postradaliśmy zmysły, ażeby uważać, że arcydzieło można atakować jakkolwiek bądź?) – powtórzę, ten właśnie prymitywny atak – nie jest niczym więcej niżeli jedynie – zerowaniem na hermeneutycznej ignorancji Polaków: bo tak właśnie jest, największymi europejskimi wrogami hermeneutyki jako procedury myślowej, konstrukcji intelektualno-interpretacyjnej, są... Polacy. A więc Parandowski – zawsze już pozostanie wrogiem jakiejś grupy Polaków? Czemu z polskiej lekcji eseju, przecież znakomitej, nie potrafiliśmy wyciągnąć wniosków filozoficznych, a zatem: co do sposobów uprawiania hermeneutyki? Hertz, Giedroyc, Parandowski, a także Stempowski, a nawet Gombrowicz i *Dziennik* – i nic? Żadnego wniosku inspiracyjnego?

Wyliczmy więc może, z czym walczy Dehnel – przynajmniej dla porządku. Przede wszystkim z *Gorgiaszem* Platona, *Eutydemem* Platona, *O mówcy* Cyncerona, z wszystkimi odkryciami i olśnieniami, ostrożnie sugerującymi od czasów Rzymian, że za retorem musi

skrywać się ukonkretniona postawa moralna, w o wiele większym stopniu niż za poetą, czy (mówiąc językiem współczesnym) poetologiem. To w grubym uproszczeniu stwierdzenie również o tym, co bardziej umoralnia – przeczytanie *Poetyki* Arystotelesa czy – *O mówcy* Cyserona. Oczywiście, że tego drugiego. Współczesnemu naukowcowi, którego chciałbym nauczyć etyki wiedzy, podsunąłbym do czytania właśnie *O mówcy*, a nie *Poetykę*. Czemu? Bowiem moralność jest tam, gdzie hermeneutyka. A hermeneutyka aż wylewa się z kart *O mówcy*. Ten sam nadmiar dane jest nam obserwować, mocą cudu jakiegoś rozmnożenia, w *Alchemii słowa*. To odwieczna opozycja. Myślę, że można by ją sprowadzić do opozycji samouctwa (Cyseron) i „akademizmu” (Arystoteles). W jednym z ostatnich wywiadów – o Yeatsie – zadałem pytanie, czy Yeats był samoukiem, czym sprawiłem u swego rozmówcy wrażenie, jakbym go spoliczkował. Jakże nieadekwatne, moim zdaniem. W „akademizmie” przecież cała wiedza ma charakter aspiracyjny i trzeba by tutaj oddzielnej refleksji, żeby w ogóle rozważyć, czy cała ta aspiracyjność nie toksykuje, nie intoksykuje – jej przedmiotu (wszakże studiujemy dla przedmiotu wiedzy, nie dla wiedzy, prawda? Mam przynajmniej taką, właśnie, nadzieję). Gdy mowa o samouctwie, mowa o cnotie, bezinteresownym lub przynajmniej kierunkowanym częściową bezinteresownością – doświadczeniu wiedzy. Dla pełnego zrozumienia *Alchemii słowa* trzeba właśnie tej niewinności samouka, to niejako – pewien złoty punkt polskiej literatury, gdzie „szybująca erudycja” łączy się z – nie mniej, przecież – „górującą” niewinnością wysłownia. Nieporozumieniem jest traktować całe to pojęcie, związane z nim struktury, asocjacje, denotacje, narracje, pejoratywnie w epoce, w której otwarciu mówimy o konieczności dynamicznej uprawy antropologii wiedzy, więcej, właściwie – już uprawiamy...

Ażeby raz jeszcze uzmysłwić, z czym Dehnel walczy, przywołam Lichańskiego w najmocniejszej chyba pochwalę *Alchemii*, jaką znam: „Sądzę, że *Alchemia słowa* ma dla nas taką wartość, jaką dla Rzymian miał Cyceński dialog *O mówcy*. To sąd subiektywny – jednakże w swej subiektywności zarówno indywidualny, jak i wspólnotowy („sądzę”, „dla nas”). Także to, oczywiście, można spostponować. Po co Polsce polski Cyceński, skoro nie chcemy tu także polskiego Gadamera, polskiego Ricoeura: Cyceńskiego tym bardziej warto w podobnej sytuacji przegnać z państwa. „Opisy warsztatu pisarskiego spotykamy w czasach współczesnych”, „wystarczy wspomnieć nazwiska takich autorów, jak Bars, Broch, Eliot, Emrich, Mann, Musil czy Valéry” – to może ich też się pozbywamy? A zdania takie, jak „Umiejętność posługiwania się słowem musi poprzedzać wiedzę o rzemiośle pisarskim – dlatego [też] dopiero po poznaniu »alchemii słowa« możemy podnieść »siódmą zasłonę« literatury” [2], uznajemy za nawiedzoną, bibliofilską bzdurę? Dla mnie – to boleśnie widoma odpowiedź na to, dlaczego w Polsce nie powstają dzieła na miarę Umberto Eco – chciałoby chyba powiedzieć najbrutalniej, jak tylko się da – „Macie Jacka Dehnela, więc po co wam Umberto Eco?”. Tylko, że Jacek Dehnel, względem Umberto Eco, jest w najlepszym razie sofistą wobec Sokratesa, ale jak wiemy doskonale z *Eutydemą* (wiemy?), Sokrates może z sofistami przegrywać: pusta obracająca się myśl łatwo wygrywa z rzemiosłem, o tym też opowiada *Alchemia słowa*... Pora kończyć. Otwieram zatem *Luźne kartki* i właśnie Dehnelowi, a przynajmniej – razem z Dehnelem – postanawiam zadedykować / odczytać wpis z Paryża z grudnia 1946 roku:

Ci, którzy w swych fantastycznych opowieściach komponują obraz przyszłości, są nieznośni w natrząsaniu z naszych czasów.
Znalazłszy sobie wygodną i bezpłatną łożę w epoce prawników

patrzają na nasze dzieje z lekceważeniem, na jakie nie pozwalał sobie Guliwer wobec liliputów. Najpospolitsze jednak banały otrzymują pewną świeżość, a może tylko szminkę w tym egzotycznym przebraniu [3].

Bo tak właśnie odczytuję słowa Dehnela: jako oświeconego człowieka przyszłości. Nawet na Cycerona spoglądałby Dehnel jak młody, niedoświadczony etnograf na „świeżo odkrytego dzikusa”. Ależ by go to zdziwiło, gdyby ten Cyceron, ten sam dziki Cyceron, w chwili tej samej dokładnie, napisał dla niego – *Imię róży*...

*

Wyobrażam sobie świat, w którym to Jan Parandowski pisze *Imię róży*. Przecież niewykluczone, że potrzebowałyby do tego nieco innego temperamentu, takiego Parnickiego, powiedzmy, ale miał przy tym wszystkim jednak coś, na czym Parnickiemu całkowicie zbywało: swadę, lecz swadę pomieszaną z miłością, nie z ironią, jak przeważnie. Tak, bodajże, można by powiedzieć. *Alchemia słowa* właśnie dlatego jest wielką apologią – no właśnie: samouctwa, bo kim innym są bibliofile, jak nie samoukami? To oni bowiem, nie akademicy reperentują *phronesis*, mądrość praktyczną, która interesuje mnie najbardziej: należy być właśnie kimś takim: *poeta phronesus*, nie *poeta doctus*. Są, po prostu, wyjątkowi. Im również bliżej do Sokratesa, tak jak akademikom, cokolwiek by o sobie nie powiedzieli, bliżej do sofistów. Czy istnieje lepsze możliwe zakończenie tego tekstu aniżeli anegdota od Ireny Parandowskiej na temat sukcesu *Alchemii słowa* na czarnym

rynku książki? Niemal natychmiast została doceniona przez erystów, i to nie byle jakich, bo nie teoretyków, ale erystów-praktyków.

Parandowska podkreśla z dumą:

Książką interesowali się bardzo prawnicy, być może dla licznych cytatów, którymi mogli się posłużyć w wielu wypadkach. Kiedyś nasz znajomy, mecenas Karniol, zapytał mnie, czy nie wiem, gdzie można dostać czajnik aluminiowy. Był to, jak mówił, dla niego bardzo ważny sprawunek; w zamian za to od swojej znajomej zdobył dla mnie upragnioną *Alchemię* [4].

Sprawdziłem to nazwisko, wierząc, że zapewni mi istotną puentę. Czy nie chodzi o słynnego warszawskiego adwokata Maurycego Karniola, uczestnika obrony Lwowa, bitwy warszawskiej, legionistę Piłsudskiego, następnie krytyka obozu sanacyjnego, szwedzkiego attaché kulturalnego, który w 1947 roku wrócił ze Sztokholmu do Warszawy [5]? Być może *Alchemia słowa* winna powrócić na wydziały prawa w ramach humanistyki literackiej dla prawników? Może oni doceniliby lekturę jako powolne, propedeutyczne doświadczenie, by może wręcz nie powiedzieć: jako czasowość, nie przystępowali do tekstu pisarza jak do sensacyjnej maszyny do „kuponowania” wszelkich powierzchownych zadowoleń? Bo tym („sensacją słowa”) *Alchemia słowa*, rzeczywiście, nie jest. Jest głęboko propedeutyczna – natomiast my żyjemy w czasach postpropedeutycznych, tworzymy, niestety, również taką literaturę, literaturę ludzi postpropedeutycznych, postpropedeutycznych i postsofistycznych (czy jest jeszcze nadzieja, lub szansa, na powrót do pozycji wyjściowych...?).

dr hab. Karol Samsel

Przypisy:

[1] J. Dehnel, *Przeciw Parandowskiemu*, [w:] J. Parandowski, *Alchemia słowa*, Warszawa 2020, s. 299.

[2] J. Z. Lichański, „Alchemia słowa”, [w:] tegoż, *Wtajemniczenia i refleksje. Szkic monograficzny o Janie Parandowskim*, Łódź 1986, s. 106 i następne, 116 i następne.

[3] J. Parandowski, *Luźne kartki*, Wrocław 1965, s. 19-20.

[4] I. Parandowska, *Alchemia słowa*, [w:] tejże, *Dzień Jana*, Warszawa 1983, s. 119-120.

[5] A. Bąkowski, *Adwokat Maurycy Karniol w świetle wspomnień i publikacji historycznych*, „Palestra” 2011 nr 11-12, s. 236-240.

Fot. Janusz Sobolewski / Forum

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
